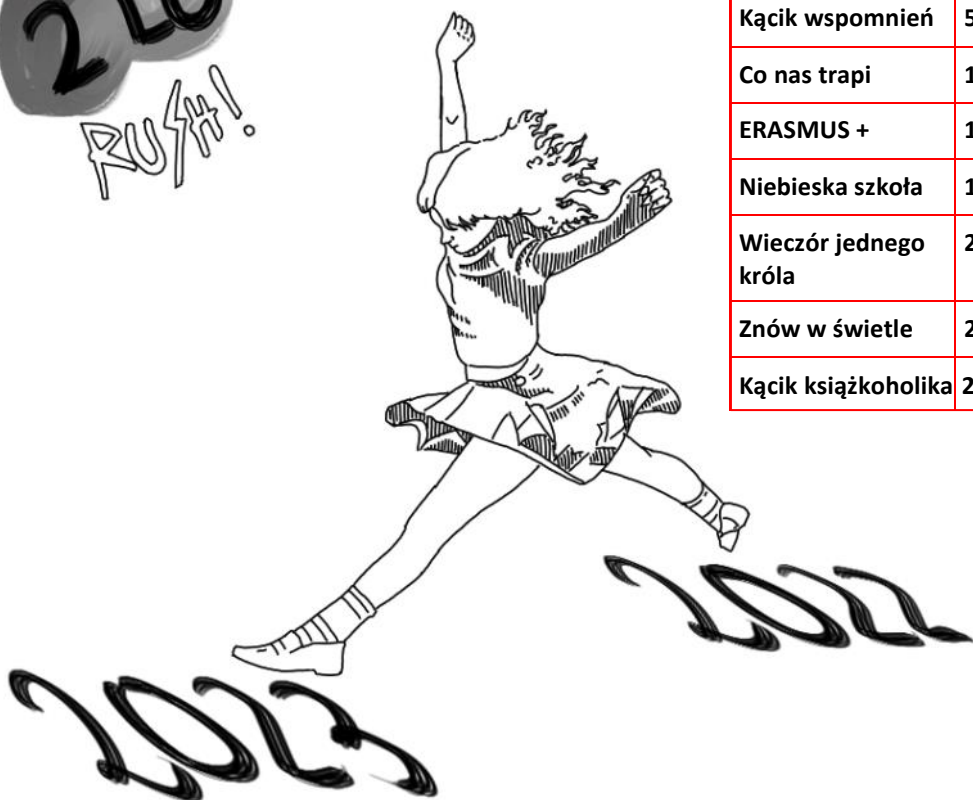


Styczeń 2023

SOB  E... Qrier

2 LO
RU#!



Kolędowa moc	2
Kącik wspomnień	5
Co nas trapi	12
ERASMUS +	14
Niebieska szkoła	16
Wieczór jednego króla	20
Znów w świetle	25
Kącik książkoholika	28

"Kolędowa Moc", czyli razem jesteśmy silniejsi

Muzyka łączy. Nad tym zdaniem można dyskutować, ale jedno jest niezaprzeczalne: w Grudniadzu od Wigilii Świąt Bożego Narodzenia 2022 do 2 lutego 2023 można było zobaczyć cuda. Ale od początku, czym była ta tytułowa "Kolędowa Moc"? Była to akcja, która polegała na odwiedzinach u starszych, samotnych osób, a także między innymi w Domach Pomocy Społecznej przez wolontariuszy z wielu grudziądzkich chórów i zespołów.

Najpierw czteroosobowe grupy wysyłały terminy, w których są wolne i chętne do kolędowania. Później seniorzy i osoby im bliskie rejestrowali się w akcji i wybierali grupę na określoną datę, po czym wolontariusze w tym czasie z radością się zjawiali i kolędowali. Główną myślą całego przedsięwzięcia było to, żeby nikt w najbardziej rodzinnym okresie roku - okresie Świąt Bożego Narodzenia nie był sam. Ta piękna inicjatywa skłoniła mnie do wielu przemyśleń, którymi chciałabym się podzielić.

Chociaż bycie samym, a samotność to dwa różne pojęcia, to niestety bardzo często u osób w podeszłym wieku to często to samo. Nie chodzi mi o pomyłkę pojęć, a po prostu połączenie obu faktów. Według raportu o samotności Szlachetnej Paczki co trzeci Polak powyżej 75. roku życia mieszka sam. Starsi ludzie często nie wychodzą nigdzie z domu w celu innym niż zaspokojenie podstawowych potrzeb, takich jak pójście do sklepu czy do apteki po leki. Wyjścia te nie dostarczają im wielu

kontaktów międzyludzkich, w konsekwencji czego stają się oni samotni. Dzięki tej akcji mogli oni przyjąć wolontariuszy, którzy umilili im swoją półgodzinną obecnością czas. Jako wolontariuszka u ludzi, u których śpiewałam, widziałam ogromną radość i łzy wzruszenia z powodu pojawienia się człowieka (nie tylko tego widzianego w telewizorze czy słyszanego w radiu). Prócz głównej części całej akcji czyli zaśpiewania (lub zagrania) czy, z drugiej strony, posłuchania kolęd zawsze spotkałam się z życzliwą rozmową - w przypadku mojej grupy zupełnie odmiennych pokoleń. Pomimo tego, że jest wiele różnic pomiędzy pokoleniem XXI wieku a osobami starszymi to zobaczyliśmy, że łączy nas więcej niż dzieli. Jedną z tych rzeczy jest muzyka. Każda grupa wykonywała zestaw wybranych kolęd. Moja śpiewała kolędy zarówno po polsku, ukraińsku jak i angielsku, przy akompaniamencie gitary oraz a capella. Widzieliśmy, że podczas znanych kolęd seniorzy śpiewali z nami, klaskali czy się po prostu uśmiechali.

Z kolei w domach pomocy społecznej czy schroniskach dla osób bezdomnych doszłam do zupełnie innych refleksji. Ludzie zamieszkujący te domy cały czas przebywają wśród ludzi: innych mieszkańców czy pracowników, po co im kolejni i to zaburzający spokój swoją obecnością i śpiewem? Może dlatego, żeby rutyna tego jednego dnia się zmieniła? Żeby codzienny plan dnia przeszedł na jedną dobę lekką modyfikację? Żeby znowu fizyczny, tym razem nowy, człowiek przyszedł.

Prócz tego nie tyle beneficjenci akcji otrzymali wiele, również wolontariusze podobnie dostali od "Kolędowej Mocy" dużo. Przede wszystkim uwrażliwienie na los innych ludzi, refleksje, wdzięczność i radość z tego, że mogliśmy być razem.

"Kolędowa Moc" to nowe dzieło Fundacji Rodziny Dejewskich, która zadbała o to, aby każdy wolontariusz miał koszulkę (w której śpiewał) i identyfikator, a także organizowała daty, osoby, godziny. Akcja była objęta patronatem Prezydenta Miasta Grudziądz, szerokim patronatem medialnym oraz gronem Ambasadorów. Jednym z nich była Pani Dyrektor naszej szkoły - Pani Beata Kasińska.

Oczywiście, i w naszej szkole, znalazły się osoby, które ze śpiewem na ustach umilały czas seniorom i całym sercem zaangażowały się w tę piękną inicjatywę. Byli to członkowie Chóru Alla Camera: Lena Gajewska, Julia Krzysztyniak, Marianna Kucharska, Marta Mitura, Amelia Olejniczak, Oliwia Dudzińska i przyjaciół szkoły - Artur Thom, chóru Cantores Graudentes: Iga Waclawska, a także członkowie zespołów: Vanitas - Igor Bączkowski i Aleksander Lewandowski oraz Melisa - Nikodem Lewandowski i Paweł Łaniecki

Inicjatywa ta dała naprawdę wiele dobra, myślę, że w następnych latach będzie kontynuowana.

Oliwia

KĄCIK WSPOMNIENÍ NAUCZYCIELI

W tym miesiącu mamy dla Was wspomnienia 2 nauczycieli, którzy już w swoich licealnych latach zainteresowali się biol-chemem 😊.

Wywiad z Panią Hanną Chlewicką:

Jakie liceum Pani ukończyła?

Ukończyłam I Liceum Ogólnokształcące (wspomnę tu, że I i II Liceum już wówczas ze sobą rywalizowały...).

Jakie były Pani rozszerzenia?

Chodziłam do klasy o profilu biologiczno – chemicznym, nie funkcjonowało wówczas pojęcie „rozszerzeń”.

Jaki był Pani ulubiony i najmniej lubiany przedmiot szkolny?

Oczywiście że chemia, również matematyka - zdecydowanie przedmioty ścisłe. Natomiast najmniej lubianym moim przedmiotem było niestety wychowanie fizyczne, chociaż bardzo lubię pływać.

Pani największe osiągnięcie?

W pracy zawodowej są lepsze i gorsze chwile. Najbardziej jestem dumna z faktu, że udało mi się kilkakrotnie doprowadzić Uczniów do finału konkursów przedmiotowych z chemii w szkole podstawowej i gimnazjum, a przede wszystkim w liceum do etapu centralnego olimpiad chemicznych.

Czy utrzymuje Pani nadal kontakt ze swoimi przyjaciółmi z liceum?

Tak, z najbliższymi. Z przyjaciółmi z czasów szkolnych, studenckich można nawet nie widzieć się długo, ale po czasie rozmawia się tak bezpośrednio, jakby to było krótkie tylko rozstanie. Tematów dużo, mnóstwo wspomnień, czas płynie i nie widać końca.

Najbardziej zapamiętana sytuacja?

Takich miłych, niezapomnianych sytuacji było dużo, najbardziej zapamiętałam chyba studniówkę w białej bluzeczce i czarnej spódniczce. Pamiętam atmosferę tamtych lat, które przecież nie były tak barwne jak obecnie.

Ulubiony nauczyciel?

To była Pani, która uczyła mnie chemii w szkole podstawowej, a później pracowała przez wiele lat jako

doradca metodyczny nauczycieli chemii. Bardzo dużo mi przekazała, Osoba wymagająca dużo od innych i siebie, ale też serdeczna i kochana Kobieta.

Najfajniejsza wycieczka szkolna?

Często wracam wspomnieniem do wycieczek klasowych, ale chyba najbardziej zapamiętałam pierwszy wyjazd na wycieczkę do NRD i fakt, że można tam było kupić fajne kosmetyki, bieliznę, kawę (oprócz zwiedzania oczywiście:))

Największa różnica między liceum w Pani czasach a w naszych czasach?

Znowu wróciło czteroletnie liceum, najbardziej żałuję, że w tamtych czasach nie czułam tak bardzo potrzeby nauczenia się języka angielskiego, czego obecnie mi bardzo brakuje. Może na emeryturze wrócę do tematu:) Poza tym nauczyciel w latach mojej nauki był bardziej niedostępny, jednocześnie wiele znał. Młodzież musiała okazywać więcej pokory. Nie twierdzą jednak, że to było lepsze. Uważam, że obecna młodzież licealna jest otwarta, bezpośrednia, bardzo ceni sobie kontakt z młodymi Ludźmi, którzy dużo wnoszą do mojego życia radości, uśmiechu i spontaniczności.

Wywiad z Panem Adrianem Woźniakiem:

Jakie liceum Pan ukończył?

Ukończyłem II Liceum Ogólnokształcące im. Króla Jana III Sobieskiego w Grudziądzu...czyli jestem absolwentem naszej szkoły ;)

Jakie były Pana rozszerzenia?

Za moich czasów nie było czegoś takiego. Uczęszczałem do klasy o profilu biologiczno-chemicznym.

Jaki był Pana ulubiony i najmniej lubiany przedmiot szkolny?

Ulubionym przedmiotem w szkole była biologia. Lubiłem także WF, geografię oraz język angielski. Najmniej lubianym przedmiotem szkolnym był...język polski...Później jednak „obudziła się moja humanistyczna dusza”. Do tej pory bardzo dużo czytam. Po studiach miałem okazję odbyć praktyki w działach sportowych dwóch gazet. Przez kilka lat byłem redaktorem portalu biathlonowego. Napisałem kilkanaście albo kilkadziesiąt wierszy...niezbadane są wyroki... :)

Pana największe osiągnięcie?

Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Wszystko zależy jaką sferę życia rozpatrujemy. Osiągnięciem można nazwać sytuację, gdy jest nam ciężko, mamy kryzys, a potem okazuje się, że jesteśmy w stanie się „podnieść” i każdego dnia pracować, aby osiągnąć zamierzony cel. Takich sytuacji w swoim życiu miałem całkiem sporo. Z dwóch rzeczy jestem szczególnie dumny, są to moje sportowe osiągnięcia. Przebiegnięcie maratonu w czasie poniżej trzech godzin oraz jazda 24-godzinna na rowerze górskim. Wtedy udało mi się pokonać swoje słabości i różne przeciwności, które pojawiły się po drodze. W każdym razie mam nadzieję, że największe osiągnięcia jeszcze przede mną... Największym wyzwaniem będzie powrót do wagi sprzed kilku lat, czyli schudnięcie około trzydziestu kilogramów :)

Czy utrzymuje Pan nadal kontakt ze swoimi przyjaciółmi z liceum?

Większość osób z mojej klasy po maturze rozjechała się po świecie (dosłownie). Z kilkoma utrzymuję kontakt. Mieliśmy też kilka spotkań. Między innymi wspólne wyjazdy na koncerty.

Najbardziej zapamiętana sytuacja?

Takich było oczywiście całkiem sporo. O niektórych nie wypada wspominać ;) Pamiętam zakłady o „wafelka teatralnego” z jednym z nauczycieli. Dotyczyły one miejsca, które w danych zawodach zajmie będący wtedy w wybitnej formie Adam Małysz ;)

Ulubiony nauczyciel?

Moim ulubionym nauczycielem był śp. Profesor Jacek Chodziutko, nauczyciel fizyki, który zmarł niestety, gdy chodziłem do trzeciej klasy...

Najfajniejsza wycieczka szkolna?

Uczestniczyłem w dwóch dłuższych wycieczkach szkolnych. Jedna była pod koniec pierwszej klasy, a druga w trzeciej. Obie były wycieczkami w góry. Zabrała nas tam Pani profesor Gajek. Niezapomniane wspomnienia...

Największa różnica między liceum w Pani czasach a w naszych czasach?

Różnic jest sporo...Za moich czasów nie było smartfonów, internet był drogi. Znacznie trudniej było poradzić sobie z trudniejszymi zadaniami. Swój pierwszy telefon komórkowy dostałem po maturze, więc też kontakt z osobami z klasy był utrudniony.

Poza tym wydaje mi się, że uczniowie wtedy byli bardziej zżyci ze sobą. Nie patrzyli tyle w ekrany swoich telefonów, a czas wolny spędzali wspólnie. Na okienkach często graliśmy w karty, w szachy, a po lekcjach spotykaliśmy się, aby pograć w piłkę nożną...było na pewno inaczej. Inne czasy, więc i inne realia 😊.

Wywiady przeprowadziły:

Aleksandra Cybulska,

Maria Oluszczyk

Co trapi dzisiejszą młodzież?

16 stycznia 2023 rok – zwyczajny dzień, który został mianowany na Blue Monday (najbardziej depresyjny dzień w roku). Nie odczułam tego dnia jakoś szczególnie źle, ale zauważyłam na przestrzeni kilku miesięcy pewne powtarzające się tendencje u rówieśników.

Coraz częściej słyszę o problemach moich kolegów czy koleżanek. Dotykają one różnych przestrzeni m.in. rodziny, związków, przyszłości czy siebie samych. Takie sprawy, jak kłótnie z rodzicami, strach przed przyszłością czy problemy w relacjach, sprawiają, że młodzież zaczyna brakować chęci do życia. Patrzy na świat pesymistycznie. Pasje młodych przestają uszczęśliwiać ich oraz dostrzegają u siebie coraz więcej wad. Czy to nie jest prosta droga do depresji? Jeśli nie podejmą żadnych działań, to tak. Jednak depresja czy zaburzenia psychiczne nie muszą być wyłącznie spowodowane powyższymi czynnikami. One mogą stać się tylko bodźcem, który wywoła takie stany. Zaburzone zachowania u nastolatków mogą być uwarunkowane genetycznie. Rodzice, którzy nie leczą swoich chorób, także wpływają na stany depresyjne u swoich dzieci.

Jak w takich sytuacjach się zachować? Przede wszystkim nie mówić, że „będzie dobrze”, „inni mają gorzej”, „nie przeżywaj”. Warto w takich chwilach po prostu być, wspierać daną osobę, zapewnić jej bezpieczną przystań, wysłuchać i najważniejsze: zrozumieć. Dojrzewanie to czas wielu zmian zarówno w otoczeniu, jak i w postrzeganiu samego siebie. W związku z tym normalne jest, że u młodych ludzi występują takie stany. Jednak, gdy te objawy się utrzymują, może warto udać się do specjalisty, np. na terapię. Muszę tutaj zwrócić uwagę, że zaburzenia psychiczne czy uczęszczanie na terapię nie definiują człowieka. Świadczy to tylko o tym, że ma on siłę o siebie walczyć, a problematyczną wrażliwość potrafi zamienić we własny atut.

Klaudia Faffek

ERASMUS+

W grudniu (tj. 2-9.12.2022r.) wybrałem się do Szczecina w ramach projektu „Erasmus+”. Jest to program finansowany przez Unię Europejską w dziedzinie edukacji i szkoleń. Jego celem jest wspieranie uczniów, studentów, nauczycieli, wykładowców i wolontariuszy w prowadzeniu międzynarodowych projektów służących podnoszeniu kompetencji. Do udziału w programie są uprawnione instytucje i organizacje publiczne i prywatne wspierające edukację formalną oraz uczenie się pozaformalne i nieformalne osób w każdym wieku.

Jednak dość tej teorii. Tematem naszego projektu była „młodość i mobilność” (Youth and mobility). Do Szczecina przybyły osoby z 6 krajów: Mołdawii, Tunezji, Ukrainy, Jordanii, Niemiec i Polski, w wieku od 16 do 25 lat. Warsztaty i cała komunikacja z innymi odbywała się w języku angielskim. Zajęcia miały głównie formę krótkiego wykładu, a następnie pracy w grupach wraz z prezentacją efektu końcowego. Podczas projektu nie brakowało również innego rodzaju rozrywek, takich jak: zwiedzanie Szczecina, wycieczka do Międzyzdrojów, „culture night”, czy „goodbye party”. Zapewniam was, że atmosfera była świetna i nie było czasu na nudę.

Podczas tego typu projektów możecie zawrzeć nowe znajomości z osobami z innych krajów oraz poznać ich kulturę. Wszyscy uczestnicy są bardzo otwarci i nastawieni na integrację. Ponadto ciągła komunikacja w

języku angielskim znacząco wzmacnia nasze umiejętności w tym zakresie. Aby jechać na Erasmus Plus, nie musicie znać angielskiego na poziomie native speakera. Wystarczą podstawy i chęć poszerzania wiedzy. Ważnym aspektem jest również to, że projekt jest finansowany w całości przez Unię Europejską, co oznacza, że nie ponosicie prawie żadnych kosztów.

Na koniec chciałbym bardzo serdecznie polecić każdemu uczestnictwo w tego typu projektach. Dzięki Erasmus+ znacząco poszerzyłem swoje horyzonty, poznałem niezwykłych ludzi z innych krajów, poprawiłem zdolności językowe, a przede wszystkim świetnie się bawiłem. Mam nadzieję, że ten artykuł zachęcił was do brania udziału w takich przedsięwzięciach, bo naprawdę warto!

Mateusz Kowalski

Niebieska szkoła

Niebieska Szkoła to program dla uczniów liceów, który odbywa się na pokładzie żaglowca STS Fryderyk Chopin. Żaglowiec zwodowany został w 1990 roku, w 1992 wyszedł w swój pierwszy rejs „Szkoły pod żaglami”. Był wykorzystywany do wielu programów i rejsów, jednak w 2010 roku doszło do wypadku, po którym żaglowiec nie był sprawny przez kolejne 2 lata. Dzięki temu jednak w 2012 roku rozpoczął się pierwszy rejs Niebieskiej Szkoły.

O rejsach Niebieskiej Szkoły wiedziałam już od bardzo dawna, jednak dopiero pod koniec wakacji zeszłego roku spontanicznie podjęłam decyzję o wyjeździe. W ten sposób 11 listopada 2022 roku po raz pierwszy w Maladze weszłam na pokład STS Fryderyk Chopin. Od razu zostaliśmy podzieleni na wachty. Podczas pobytu w Maladze staliśmy w porcie przy kei, więc obowiązywały nas wachty trapowe. Podczas takiej wachty stoimy przy wejściu na pokład i kontrolujemy, kto na niego wchodzi i wychodzi. Przez cały rejs już od pierwszego dnia obowiązywały nas wachty kambuzowe, czyli pomoc w kuchni, a także wachty mechaniczne i bosmańskie. Stojąc w porcie w ciągu dwóch dni musieliśmy napanować pracę na masztach i rejach czyli poprzecznych belkach na maszcie, tak aby potrafić npostawić i posprzątać żagle podczas płynięcia. Uczyliśmy się także takielunku czyli nazw wszystkich lin i żagli statku oraz wodowania pontonów. W międzyczasie mieliśmy okazję zwiedzić Malagę. 13 listopada po południu usłyszeliśmy pierwszy

alarm do żagli. Wyływaliśmy z Malagi w stronę Wysp Kanaryjskich. Pierwszy raz musieliśmy wykorzystać to, czego nauczyliśmy się w ciągu ostatnich dni. Przez kolejny tydzień obowiązywały nas wachty nawigacyjne. Codziennie każda grupa miała 4 godziny wachty w ciągu dnia i 4 godziny w nocy, podczas których sterowaliśmy, kontrolowaliśmy, czy na wodzie nie pojawiają się obiekty nie wykryte przez radar, a także wykonywaliśmy zadania bosmanów. Po dwóch dniach kapitan wprowadził lekcje, tego dnia także znacznie pogorszyła się pogoda i wszystkich bez wyjątku w różnym stopniu dotknęła choroba morska. Wszyscy też zaczęli odczuwać zmęczenie, 8 godzin wachty, szkoła a także alarmy do żagli, które były męczące i często przerywały sen którego i tak było mało. Podczas żeglugi nawet najprostsze czynności jak zjedzenie posiłku okazują się wymagające, bo przy przechyłach ciężko było utrzymać wszystko na miejscu, nie było dnia bez rozlanej zupy czy herbaty, a pomidory, które lądowały na ścianie, nikogo nie dziwiły. Po tygodniu dotarliśmy do Las Palmas na Gran Canarii i zdecydowanie ten cały wysiłek był tego warty. Kolejne pięć dni spędziliśmy głównie na lądzie, jeździliśmy na wycieczki, odpoczywaliśmy na plaży, chodziliśmy po mieście. 24 listopada wieczorem wypłynęliśmy z portu, płynęliśmy wzdłuż Afryki na południe. Kilka razy spotkaliśmy delfiny. Podczas tego przelotu dodatkowo uczyliśmy się węzłów. I po kolejnych pięciu dniach żeglugi dotarliśmy do Mindelo na Cabo Verde. Tam mocno odczuliśmy inną kulturę, zupełnie inny styl życia i standardy.

Udało nam się też odwiedzić sąsiednią wyspę, na której zetknęliśmy się z niesamowitą, egzotyczną przyrodą i jeszcze mniejszą cywilizacją niż na Cabo Verde. Po czterech dniach odpoczynku wypłynęliśmy w najdłuższy i najtrudniejszy odcinek naszej podróży, czyli przepłynięcie Atlantyku aby dotrzeć na Karaiby. Przelot trwał ponad dwa tygodnie. Cały czas obowiązywały nas wachty nawigacyjne oraz lekcje, na których tylko nieliczni nie zasnęli. Poza tym zajmowaliśmy się wymianą żagli, malowaniem i czyszczeniem statku. Były także wykłady na temat międzynarodowego prawa drogi morskiej, nawigacji i teorii żeglowania. Kilka razy zaskoczyła nas nagle zmiana pogody. Deszcz padał tak bardzo, że stojąc na sterze ledwo widziałam kompas. Innym razem ogromne fale, które powodowały takie przechyły, że musieliśmy być przypięci, aby nikt nie wypadł za burtę, bo w takich warunkach jest tylko jedno zakończenie takiej sytuacji. Te same fale powodujące przechyły podczas alarmów do żagli często bardzo utrudniały nam wybieranie lin, czy wchodzenie na reje. Kilkoro z nas miało okazję zobaczyć wieloryba, a delfiny nie budziły już większych emocji, pojawiły się za to latające ryby, które po każdej nocy było trzeba wyrzucać za burtę, bo część wlatywała na pokład. Te ponad dwa tygodnie bardzo szybko minęły, przez zmęczenie, wachty, brak regularnego snu zniknęło nam poczucie czasu. Jednak wszyscy wiedzieliśmy, że czeka na nas nagroda. I tak 18 grudnia dopłynęliśmy na upragnione Karaiby a dokładniej na Marie-Galante. W ciągu 18 kolejnych dni odwiedziliśmy jeszcze Gwadelupę, St.Martin, gdzie spędziliśmy święta, St.Barth's, St.Eustatius, Les Saintes i Martynikę,

na której świętowaliśmy nowy rok i skąd wróciliśmy do Polski. Przeloty między wyspami były krótkie, niektóre trwały tylko kilka godzin a najdłuższy około doby. Karaiby okazały się jeszcze lepsze, niż sobie wyobrażaliśmy.

Przepiękne plaże, egzotyczna przyroda, cudowny klimat. Wzięliśmy udział w kilku wycieczkach m.in. wchodziliśmy na wulkan czy kąpaliśmy się w wodospadach. Naszym największym zmartwieniem było tylko to, żeby zdążyć na wachtę kotwiczną, która obowiązywała we wszystkich portach na Karaibach. Spędziliśmy też bardzo nietypowe święta, wigilia na statku była dość zabawna, a ozdoby świąteczne i choinki na wyspach wyglądały absurdalnie. Z kolei, sylwester na statku był ciekawą odmianą. Nowy rok i Martynika oznaczał końcówkę rejsu. Zaczęło się sprzątanie statku i pakowanie, bo kilkanaście godzin po naszym wyjeździe na statku pojawiła się kolejna załoga. 3 stycznia po raz ostatni przepłynęliśmy pontonem z STS Fryderyk Chopin na ląd i pojechaliśmy na lotnisko. Z Martyniki do Paryża potem z Paryża do Polski i tak w Warszawie nadszedł czas podsumowania rejsu i pożegnania.

Już teraz powstają plany powrotu na Chopina, który przez ten czas był naszym domem. Wspomnienia, które powstały, przeżycia i nowe doświadczenia zostaną z nami na zawsze i są bezcenne. Nie bez powodu hasło Niebieskiej Szkoły to „lekcja na całe życie”.

Marysia Szcześnik 3c

Wieczór jednego króla – jazzowy reportaż koncertowy.

„Ze statków komediantów w dzielnicy Storyville narodziła się jedyna uniwersalna muzyka tego wieku, coś, co zbliża do siebie ludzi lepiej i bardziej niż esperanto niż UNESCO, niż linie lotnicze, muzyka wystarczająco prymitywna, aby stała się powszechna, i wystarczająco dobra, aby stworzyć własną historię, swoje schizmy, abdykacje, herezje.”

Julio Cortazar *Gra w klasy*

Potworność zimowych deszczów poznałem do głębokości mojej koszuli, biegnąc między toruńskimi uliczkami. W biegu szarzynna mieszała się z ciepłym światłem knajp i papierosowym dymem kolejnych przechodniów. Ci obdarzeni błogosławieństwem parasolów, do których, niestety, się nie zaliczałem, szli spokojnie prowadząc swoje suche rozmowy. Moknącym nigdy nie jest dana rozmowa.

Biegłem odgarniając kolejny mokry kosmyk z czoła. Omijając głębsze kałuże. Piątkowe Święto Trzech Króli odmłodziło nieco stare miasto, ciskając kolejnych spragnionych w krwiobieg ulic. Odgarniając mokre włosy wreszcie zobaczyłem Jordanki. Salę koncertową o wyglądzie tak nowoczesnym, że jedyne co przychodzi na myśl to rozłupany kamień na głowie pierwszego człowieka.

Dziękując za pierwszy skrawek wolny od deszczu, wpadłem do tłumu szturmującego drzwi główne. W środku trwało obłędzenie szatni. Płaszczce latały w

powietrzu z numerkami i pojedynczymi krzykami: „trzydzieści”, „czterdzieści”, „pięćdziesiąt jeden”. Odpowiadała im wojenna uprzejmość: „dziękuję”, „nie można szybciej”, „pani, gdzie mój numerek?”.

Po oddaniu swojego przemoczonego płaszcza, wróciłem do potoku białych kołnierzyków. Na sali wreszcie można było zaczerpnąć głębszy wdech. Usiadłem na swoim miejscu i rozejrzałem się po prawie już zapelnionej sali. Do koncertu zostało jeszcze parę minut. Lekko zmrużyłem oczy i spojrzałem na scenę dźwigającą szereg krzesel i dwa fortepiany. Na ekranie powyżej wyświetlono tytuł koncertu – All that JAZZ Włodek Pawlik Trio & Toruńska Orkiestra Symfoniczna.

Cała sala pękała w rozmowach, a porzucone kontrabasy czekały spokojnie.

Widownia była bardzo zróżnicowana, od staruszek bardziej pasujących do Requiem Mozarta po wrzeszczącego niemowlaka trzy rzędy pode mną. Rozmowy również dodawały kolorytu przed koncertowej euforii. Rząd pode mną trwała zażarta dyskusja gospodarczo-polityczna.

-Gdybym był znowu młody – z przejęciem oznajmił staruszek o przekrwionych oczach. - Zrobiłbym z nimi wszystkimi porządek. Z tymi złodziejami nauczycielami.

-Jeszcze gorsi są prawnicy – dodała jego małżonka o wiecznie kiwającej głowie.

-A ci lekarze to dopiero – staruszek wzniosł palec wysoko i z niesmakiem cmoknął ustami.

-Wszędzie to samo, gdzie nie spojrzeć – dokończyła za niego żona. Ten społecznie wrażliwy duet dzielił młodszy ode mnie wnuk.

-A muzycy? - zapytał, patrząc prosto w czerwone oczy dziadka.

-Muzycy, to prawie jak emeryci. Też nic nie mają.
- Odgryzł się szybko dziadek. Babcia kiwała dalej głową, nie wiadomo czy przez początki parkinsona, czy zgodność z małżonkiem.

Po tej głośniejszym wymianie zdań, sala wróciła do niezrozumiałego gwaru. W następnej chwili, to rząd nade mną odezwał się głośniejszym. Jeden wyjątkowo głośny znawca jazzu, prowadził zachwycający monolog. Rozpoczął od krótkiej relacji, jak spędził sylwestra. Pomijając wszystkie zawiłe szczegóły, pierwszego szampa wypił w Bydgoszczy, a ostatniego na kacu w Toruniu, czym zakończył trwający wiecznie spór toruńsko-bydgoski. Puentując, że w obydwu miastach wymiotował. Potem przeszedł do recenzji wina, z gracją równą Robertowi Makłowiczowi. Jednak nie zdążył dokończyć opisu biedronkowego rieslinga, bo na scenę weszła orkiestra.

Po krótkim strojeniu, paru słowach przedstawiciela miasta, na scenę wkroczył jedyny król tego wieczoru, sprawca całego tego zamieszania – Włodek Pawlik. Pianista o posturze dzika, wszedł lekkim krokiem i uściskał serdecznie dłoń dyrygenta. Wziął niewidzialny dotąd mikrofon i przemówił głosem, który nigdy bym nie przypasał do niego, a którego echa wciąż później słyszałem w dźwięku pianina, jakby istotą muzyki kompozytora był tkwiący w nim głos.

Koncert zaczął się od *II koncertu fortepianowego* autorstwa samego wykonawcy. Dzieło naprawdę zachwycające. Kompletnie oderwane od reszty programu, zostało w mojej pamięci najdłużej. Piękne tematy

muzyczne i świetne rozwiązania melodyczne brzmiały cudownie. Pierwsza część, klasycznie wydawała się radosna i żywa. W drugiej części przeważały rozerwane dźwięki fortepianu, z małą dawką orkiestrowego akompaniamentu. Melodia początkowo bardzo niepokojąca, rozwinęła się w niespodziewanie „skoczne” motywy. Trzecia część z pełnym rozmachem zaprezentowała całość melodii i fantazji kompozytora. Po przerwie z oklaskami, na scenie pojawił się drugi pianista Łukasz Pawlik syn Włodka. Wspólnie zagrali krótki utwór *We are from here*. Kompozycja była dosyć zwyczajna. Żadnych ważnych szczegółów, tylko płynące gęste dźwięki pianina, ale momentami aż tonące razem z widownią.

Po tych dwóch dziełach, nastąpiła kilkunastominutowa przerwa.

Gdy muzycy wrócili na scenę, zaprezentowali śliczne kompozycje Pawlika na temat najpopularniejszych melodii Moniuszki.

Wydaje mi się, że słowo śliczne najlepiej oddaje cały charakter i wyźwięk utworów drugiej części. Pawlik zachował prostotę i śpiewność Moniuszki, dodając do niej nowoczesne rozwiązania melodyczne, którym jednak daleko od przeintelektualizowanego europejskiego jazzu. Dużo w nich dynamiki i taneczności, kwintesencji amerykańskich korzeni jazzu,

W sumie zaprezentowano podczas drugiej części: *Szumią jodły na gór szczycie*, *Ten zegar stary*, *Gdybym rannym słońkiem*, *Pieśń wieczorną*, *Kum i kuma* i *Prząśniczkę*. Jedynym utworem, który mnie zawiódł był *Ten zegar stary*. Pawlik potraktował utwór Moniuszki bardzo prymitywnie. Zmiany melodyczne, tak ważne dla

oryginału, zepchnął do orkiestrowych detali w partii instrumentów dętych. Poza tym jednym utworem wyklęty, reszta była śliczna.

Ostatnim zagranym utworem była fenomenalna *Prząśniczka*. Ożywiona i bliższa tangu niż operze. Po niej nastąpiły gromkie brawa. Bis został grzecznie wymuszony i znowu usłyszeliśmy *Prząśniczkę*. Drugie wykonanie miało więcej spokoju i oddechu wewnątrz. Brzmienie ostatniego dźwięku fortepianu zlało się z oklaskami, już po bisowymi, więc bezinteresownymi – szczerymi. Włodek Pawlik zakończył występ jednym okrzykiem: „Moniuszko!”, po którym oklaski zakotłowały się a orkiestra zniknęła za kurtyną.

Znowu moknąc na bruku, byłem zachwycony koncertem. Tłum uśmiechnięty i śmiejących się ludzi, zdradzał podobne uczucia. Gdy wracałem deszczowym wieczorem, melodie krążyły w niesłyszących uszach i na nieśpiewającym języku. Dając ostateczny dowód, że ten wieczór był zdecydowanie wart niejednej ulewy.

Igor Gurbin III C

ZNÓW W ŚWIETLE

Królowa art deco, pionierka tego stylu z XX wieku znów staje w centrum uwagi! 9.09.2022 do Muzeum Narodowego w Krakowie zawitali Kizette, Tadeusz Łempicki, Dziewczęta i wiele, wiele innych twarzy, utrwalonych za pomocą farby przez Tamarę Łempicką.

Muzeum zaserwowało widzom ponad 30 obrazów, a także fotografie i filmy ukazujące życie artystki. Wśród dzieł malarskich można znaleźć nie tylko te najślynniejsze (Autoportret w zielonym bugatti, Dziewczęta, Portret Iry P.), ale również akty, martwe natury oraz mniej znane abstrakcje. Przy samym wejściu wita nas gablotka z akcesoriami malarskimi Łempickiej.

Sala wystawowa nie jest zbyt duża, jednak została idealnie zagospodarowana. Ciemność wywołana czarnymi ścianami, posadzką, sufitem jest rozpraszana punktowo przez reflektory i opisy obrazów wyświetlane z rzutników. Dzięki temu nie mamy czym się rozproszyć, ciężko jest zwrócić uwagę na coś innego niż twórczość malarki. Przytyka nam ją do twarzy- jak to robiła za życia. Korytarze zostały sprytnie wydzielone za pomocą zwisających z sufitu firanek sznurkowych. Również były podświetlone, co sprawiało wrażenie jakby światło z nich spływało.

Z każdej strony widać nowe zainteresowanie Łempickiej – człowieka. Przez delikatne firankowe „ściany” można poczuć się otoczonym (ale nie osaczonym) postaciami jej autorstwa. Większość została wykonana w stylu art deco, charakteryzującym się dekoracyjnością i wieloma wyszukаныmi ozdobami. Dzięki temu, że na wystawie nie ma nadmiaru dzieł, możliwe jest spokojne zobaczenie ich wszystkich. O wiele bardziej polecam poświęcić więcej uwagi kilku z nich i dokładniej się im przyjrzeć niż tylko rzucić okiem na wszystkie.

Osobiście, nie poświęcałam większej uwagi filmom – nie były dla mnie tak interesujące jak obrazy czy zdjęcia. Fotografie były miłym zaskoczeniem, ponieważ ich obecność na wystawach nie jest zbyt częsta. (A bądź co bądź nieodłączną częścią twórczości Łempickiej jest ona sama). Wystawienie ich było możliwe dzięki współpracy z prawniczką artystki – Marisą Łempicką, która pozyskała dla muzeum materiały archiwalne m.in. z Tamara de Łempicka Estate.

Najbardziej zapadł mi w pamięć „Portret Iry P.”, głównie przez nieobecny wzrok tytułowej postaci. Można się jedynie domyślać, w co jest tak wpatrzona. Niestety kolejki do wejścia na wystawę są dość długie, ale mimo to jest ona warta zobaczenia. Będzie ona w Muzeum Narodowym w Krakowie do 12 marca 2023r.

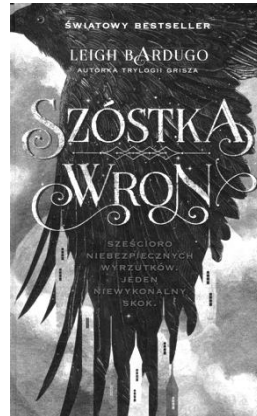
Dla Tamary Łempickiej malarstwo było z początku sposobem na związanie końca z końcem. Po jakimś czasie stało się czymś więcej. Walczyła za swoją sztukę i robiła wszystko, żeby ją zauważono (często naginając fakty i dostosowując prawdę do własnych potrzeb). Ostatecznie działania te przyniosły pożądany skutek. Jej dzieła sprzedawano za miliony dolarów, były w centrum zainteresowania, ludzie się nimi zachwycali. Jak widać nie przeszło im do dzisiaj...

Alicja Płusa 1d

„Szóstka wron”

-O autorce-

Leigh Bardugo to amerykańska autorka książek dla młodzieży (young adult) i fantasy. Najbardziej znana z powieści umieszczonych w tzw. uniwersum griszów, w tym z dylogii „Szóstka wron” i trylogii „Cień i kość” oraz powieści „Dziewiąty dom”. Studiowała na Uniwersytecie Yale, który ukończyła wiosną 1997 roku. Przed opublikowaniem pierwszej powieści pracowała jako copywriterka i dziennikarka, a także makijażystka przy efektach specjalnych. W części odautorskiej swojej powieści Szóstka wron autorka ujawniła, że cierpi na martwicę kości i czasami musi użyć laski do poruszania się. Bardugo jest także wokalistką w zespole Captain Automatic.



-Krótki opis-

Sześcioro niebezpiecznych wyrzutków. Jeden niewykonalny skok.

Przestępczy geniusz Kaz Brekker otrzymuje ofertę wzbogacenia się ponad wszelkie wyobrażenie –

wystarczy w tym celu wykonać zadanie, które z pozoru wydaje się niewykonalne:

- włamać się do niesławnego Lodowego Dworu (niezdobytej wojskowej twierdzy),
- uwolnić zakładnika (a ten może rozpuścić magiczne piekło, które pochłonie cały świat),
- przeżyć dostatecznie długo, żeby odebrać nagrodę (i ją wydać).

Kaz potrzebuje ludzi wystarczająco zdesperowanych, żeby wraz z nim podjęli się tej samobójczej misji, oraz dostatecznie niebezpiecznych, żeby ją wypełnili. Wie, gdzie ich szukać. Szóstka najbardziej niebezpiecznych wyrzutków w mieście – razem mogą być nie do zatrzymania. O ile wcześniej nie pozabijają się nawzajem.

-Moja opinia-

Książka ta jest inna niż wszystkie, jakie przeczytałam do tej pory. Opowiada ona o grupie ludzi, którzy na pierwszy rzut oka całkowicie się od siebie różnią i nie mają nic ze sobą wspólnego. Natomiast razem tworzą zgraną ekipę i podejmują się misji, która dla innych wydaje się niemożliwa i szalona. Nic nie jest w stanie stanąć im na drodze. Każda z „Wron” jest wyjątkowa na swój sposób i jestem pewna, że utożsamicie się chociaż z jedną z nich. Zwroty akcji i mrożące krew w żyłach zadania, które wykonywali, aby dotrzeć do upragnionego celu, były dla mnie zaskakujące oraz trzymały mnie w napięciu. Czytałam rozdział za rozdziałem bez przerwy. Świat przedstawiony jest niesamowicie wykreowany.

Książka zdecydowanie posiada swój klimat i porusza problem pogoni za pieniądzem czy ubóstwa. Po jej zakończeniu pozostała w moich myślach jeszcze na długo – zwłaszcza po ostatnim rozdziale, który wprowadził mnie w osłupienie. To zdecydowanie obowiązkowa pozycja dla każdego, kto zaczyna swoją przygodę z literaturą fantastyczną.

PS. Warto sięgnąć również po drugi tom - „Królestwo kanciarzy”

-Ocena-

4/5 ★

-Ulubiony cytat-

„Zobowiązałem się cię chronić. Tylko śmierć powstrzyma mnie od wypełnienia tej przysięgi.”

-Playlista-

„Everybody Wants to Rule the World” – Lorde

„Can't Pretend” – Tom Odell

„Unstoppable” - Sia

Oliwia Lewczuk

**II LO im. Króla Jana III
Sobieskiego**

Ul. Marcinkowskiego 10
86-300 Grudziądz
Tel/fax (0-56) 462-22-65

e-mail: dyrektor@lo2.grudziadz.pl

II LO

Zapraszamy na stronę:
www.lo2.grudziadz.pl

Redakcja: Oliwia Dudzińska,
Aleksandra Cybulska, Maria
Oluszczyk, Klaudia Faffek,
Maria Szcześniak, Alicja Płusa,
Oliwia Lewczuk, Mateusz
Kowalski, Igor Gurbin

Okładka: Szymon Kurzyński

Opiekun: p. prof. Katarzyna
Bartos

Skład komputerowy: Katarzyna
Lubańska, Dominika
Wiśniewska